

Do teatru z bojowego szlaku



Ryszardy Hanin przedstawiać nie trzeba. Aktorka ta znana jest wszystkim, nawet ludziom, którzy w teatrze nie bywają zbyt często, filmy oglądają sporadycznie, a i na telewizję nie zawsze mają czas. W rolach stworzonych przez Ryszardę Hanin jest bowiem coś tak naturalnego i przekonującego, tyle ciepła w postaciach kobiet zwyczajnych, wręczniętych w codzienny kierat życia, że właśnie te tysiące kobiet, które ją bodaj raz zobaczyły, zapamiętały na długo.

Młodziutkiej dziewczynie, urodzonej we Lwowie, los wyznaczył start niełatwy. Wojna zagarnęła ją do wojska, znalazła się w kobiecym batalionie imienia Emilii Plater, I Dywizji im. T. Kościuszki. Służbę traktowała poważnie, toteż wcale nie była zachwycona, gdy odczytano rozkaz wcielający ją do zespołu teatralnego, który został właśnie stworzony na polecenie dowództwa.

Werbunkiem zajmował się poeta Leon Pasternak, późniejszy mąż aktorki. Nie miał łatwego zadania, bo kandydaci na aktorów uważali, że po to jest się w wojsku, aby walczyć z wrogiem, a nie „bawić się w teatr”. Zespół jednak powstał. Do pomocy Pasternakowi przydzielono jeszcze jednego pisarza, Adama Ważyka. Ich zadaniem było przygotowywanie repertuaru, a teatrem kierował zawodowy aktor, Władysław Krasnowiecki, także pełniący służbę wojskową.

– Harowaliśmy ciężko – wspomina pani Ryszarda. – Bo oprócz pracy w zespole, prób, uczenia się ról i występów, mieliśmy ćwiczenia wojskowe. Tak ciągnęliśmy aż do bitwy pod Lenino. Graliśmy tuż przed bitwą, graliśmy także dla rannych w lazaretach. Nasz repertuar składał się ze spektakli teatralnych, między innymi wodewilu „Bal u fizylierki” Leona Pasternaka, „Noclegu” Adama Ważyka. Były to historyjki prościutkie, których puentę stanowił koniec wojny, lub obrazki historyczne, oparte na znanych faktach. Bardzo się naszym widzom, kolegom z wojska podobały.

Istotnym elementem teatralnego programu były oczywiście piosenki. To właśnie nasz zespół dał prawykonanie tak potem znanych przebojów jak Marsz I Dywizji „Oka” ze słowami Pasternaka, czy Marsz I Korpusu „Spoza gór i rzek” albo „Warszawo, ty moja Warszawo”. Z czasem polubiliśmy ten teatr – otrzymywaliśmy tyle dowodów sympatii i przekonaliśmy się, że jesteśmy naprawdę potrzebni.



Władysław Krasnowiecki kładł nacisk na naturalność i świeżość gry aktorskiej. Kierownik tego wojskowego teatru nie aprobował pseudozawodowości u młodych adeptów. Był podobno niezrównanym pedagogiem, a ci, którzy zdecydowali się później zostać zawodowymi aktorami, wiele mu zawdzięczają. Bez niego nie byłoby tego zespołu, tego zapału i atmosfery.

– Pamiętam – wspomina Ryszarda Hanin – że w 1944 roku graliśmy „Śluby panięskie” Fredry. Najpierw w Chełmie, potem w Lublinie. Nie mieliśmy kostiumów. Chłopcy występowali w przeobitych mundurach niemieckich, zdobycznych. Dziewczęta nakładały krynolinki z gazy opatrunkowej, spod których wystawały ciężkie saperskie buciorry, dudniące okropnie na deskach sceny.

Dokończenie na str. 26

Do teatru z bojowego szlaku

Po wojnie, gdy zaczęły pracę teatry zawodowe, ten nasz żołnierski, amatorski teatrzyk przekształcił się w zespół zawodowy. Przyjął nazwę Teatru Wojska Polskiego. Dawny zespół rozsypał się, wiele osób marzyło o cywilnych zawodach. Została nas garstka z dawnej grupy: Irena Krasnowiecka, Maria Chodecka, Sabina Chromińska, Julian Przybylski. Nie wszyscy przecież z dawnych kolegów naszego teatrzyku mieli predyspozycje aktorskie. Była na przykład wśród nas dziewczyna, Krystyna Celińska, o pięknym głosie. Wcale nie chciała być aktorką. Poszła na studia prawnicze, aby zostać prokuratorem...

Ryszarda Hanin jednak nie wybrała studiów prawniczych, ani innego z tak modnych wtedy „konkretnych” zawodów. Czy mogła oprzeć się pokusie zagrania Panny Młodej w „Weselu” Wyspiańskiego, skoro tę rolę zaproponował jej sam Jacek Woszczerowicz? I zagrała ją z powodzeniem w słynnym powojennym wystawieniu „Wesela” w Lublinie w 1946 roku. A potem role zaczęły sypać się jak z rękawa – Melibea w „Celestynie” Fernando de Rojas, Ariel w „Burzy” Szekspira, Ślepa Berta w „Świerszczu za kominem” Karola Dickensa, Nastka w „Na dzień” Gorkiego.

– To był najlepszy okres Leona Schillera po wojnie. Byłam szczęśliwa, że zaraz po zdaniu egzaminu aktorskiego w 1945 roku dostałam się do jego teatru w Łodzi. Tu startowało wielu znanych aktorów. Tadeusz Łomnicki, Zosia Mrozowska. Wiodło się nam. Za „Burzę” dostaliśmy pierwszą nagrodę na festiwalu szekspirowskim.

Czy trudno było zdać ten aktorski egzamin? Była to poważna próba naszych umiejętności. Egzamin zdawali razem z nami, adeptami teatru wojskowego, także ci, którzy studiowali w podziemnej u-

czelni podczas okupacji. Powieździeliśmy sobie, że musimy zdać, i zdaliśmy.

Lata pięćdziesiąte to okres pracy w Teatrze Polskim, który objął Schiller, przenosząc się do Warszawy. Zabrał ze sobą z Łodzi Ryszardę Hanin wraz z Jakiem Woszczerowiczem, Haliną Kossobudzką i innymi aktorami. I tu znowu, po warszawskim już sukcesie powtórzonego z Łodzi przedstawienia „Na dzień”, nastąpiły dalsze role: m.in. w „Grzechu” Żeromskiego, w „Domu Bernardy Alba” Garcia Lorki, w „Nocy listopadowej” Wyspiańskiego. Zanim Ryszarda Hanin przeszła do Teatru Dramatycznego, gdzie stworzyła wiele wybitnych ról, przekonała się, że teatr potrafi nie tylko dawać radość, ale i sprawiać ból. Nastąpił trudny okres w jej życiu, potwierdzający związek życia artysty z przemianami społecznymi, politycznymi, estetycznymi.

– Tak, koniec lat pięćdziesiątych był trudny. Wcześniej, gdy była moda na tak zwanych ludowych bohaterów, często obsadzano mnie w teatrze i w filmie w rolach dość schematycznych, uzasadniając, że ja te postacie „ożywiam”. Tak się dyrektorzy i reżyserzy przyzwyczaili do mnie w roli „pozytywnych” bohaterek, że gdy moda na nie minęła, zapomnieli o mnie i urwały się propozycje.

Taki przestój jest dla aktorki w pełni sił i możliwości niezwykle trudny. Przeżywałam go mocno, zastanawiałam się nawet, czy nie zmienić zawodu. Jednak udało mi się przełamać złą passę. Może znowu trochę dopisało mi szczęście. Jan Kreczmar jeszcze w 1952 roku upatrzył mnie na swoją asystentkę i uczył mnie jak uczył innych. Bardzo to zajęcie polubiłam i ono pomogło mi wykrzesać nowy zapal do pracy. Jednocześnie szukałam dla siebie nowej formy aktorskiej, w poezji, w recitalach.

Przypomnijmy jednak, że w końcu lat pięćdziesiątych i w latach sześćdziesiątych powstały takie role, jak Matka Anny w „Pamiętniku Anny Frank”, Pani Maria w „Letnikach” Gorkiego, Pani Brydan w „Czerwone róże dla mnie” O’Casey’ego, czy niezrównana Miss Furnal w „Czarnej komedii” Shaffera, Pelasia w „Na czworakach” Różewicza, Katarzyna i Matka-Królowa w „Ślubie” Gombrowicza...

– W teatrze znowu nastąpiły zmiany. Zaczął być modny „teatr z dystansem”. Uważano na przykład, że rolę starego człowieka trzeba zagrać, a nie po prostu nim być rzeczywiście. Zaczęłam i ja grać kobiety, nazwijmy je umownie, dojrzałe wiekiem. I tak mając 35 lat grałam siedemdziesięciolatki. Toteż w przekonaniu wielu ludzi jestem zapewne jeszcze starsza niż wskazuje na to metryka.

Wypowiedzi tej towarzyszył przekorny uśmiech. Uzasadniony. Mam bowiem przyjemność siedzieć naprzeciwko niebieskookiej blondynki, doskonale ubranej, bezpośredniej i dowcipnej, którą trochę bawi ta mimowolna konfrontacja postaci z rolą jej „prywatnym” wyglądem.

Każdy aktor chce uniknąć zamknięcia go w jakimś jednorodnym typie ról. Wszyscy przed tym bronią się.

Ryszarda Hanin lubi występować w różnych formach.

– Swego czasu robiłam sporo monodramów. Wybieram tylko nieliczne, te które mają wewnętrzną dramaturgię, zawierają jakiś konflikt, pozwalają toczyć spór z partnerem. Może to być partner rzeczywisty, jak w „Balladzie o Januszku” Sławomira Łubieńskiego, może być domniemany, jak w „Róża jest róża” Miry Michałowskiej.

Ten ostatni gra pani Ryszarda w „Starej Prochowni”. Jest to pełna napięcia opowieść o życiu Alicji Toklas, przyjaciółki wielkiej Gertrudy Stein. Widziany oczami bohaterki, osoby pozornie na sztukę niewrażliwej, Paryż połowy naszego wieku, Paryż Picassa, Hemingway’a z tyłoma wybitnymi ludźmi tego okresu – staje się dostępny, zrozumiały, pasjonujący. Mimo że o tym wielkim świecie mówi kobieta, która przez 30 lat zajmowała się tam tylko kuchnią, sprzątnięciem

i dotrzymywaniem towarzystwa słynnej Gertrudzie. Za to umiała patrzeć na ludzi i słuchać ich.

Ta dojrzała, oryginalna w pomysłach rola (Ryszarda Hanin prezentowała ją niedawno publiczności berlińskiej) powstała przecież po „Radosnych dniach” Becketta, po „Lysej śpiewaczce” Innesco, a także po „Niespodziance” Roztworowskiego i „Dobrym życiu” Bunina. Czy jednak te wszystkie role spełniły osobiste oczekiwania aktorki? Czy zadowolili pedagoga, tak wobec siebie wymagającego? Bo, dodajmy, obecne stanowisko profesora w warszawskiej PWST Ryszarda Hanin osiągnęła przechodząc wszystkie szeregowe stopnie nauczyciela akademickiego, od asystenta począwszy.

– Wielka rola, czy raczej dobra rola, bo trudno to określić – powiada – w dużym stopniu zależy od przypadku. Gdybym jednak mogła sterować tym przypadkiem, to chciałabym zagrać coś, co byłoby odpowiednikiem „żeńskich ról” Króla Leara, z takim bogactwem uczuć, przeżyć, nastrojów.

A film? Przypomnę niektóre ważniejsze postacie – Matka w „Drzwiach w murze” Stanisława Różewicza, tytułowa postać w „Zofii” – debiucie filmowym Ryszarda Czekajły. Co sądzi o obecnej sytuacji w filmie i teatrze. O ich przyszłości?

– Unikam wygłaszania sądów o sztuce, o filmie i teatrze. Tyłu bardziej kompetentnych ludzi się na ten temat wypowiedziało. Gdybym miała własną receptę na przezwycięzenie słabości teatru czy filmu, nie tylko nie unikałabym wywiadów, ale domagałabym się, aby mnie dopuszczono do głosu. Ale tej recepty nie mam.

Wypowiadam się natomiast w swoich rolach. Próbuję teraz w Teatrze Dramatycznym nową rolę w dwuosobowej sztuce, wspólnie z Ewą Decówną. Problem samotności, tak charakterystyczny dla czasów, w których żyjemy, niezależnie od miasta i kraju. Sztuka porusza trudne problemy o prawie do śmierci, prawie wyboru i decyzji. Jak będzie przyjęta przez publiczność – zobaczymy.

WANDA JESIONOWSKA



Fot. Archiwum

